Lewocka Katarzyna

Kacper Owczarek.

# KACPER
# OWCZAREK

DRAMMA ORYGINALNA.



Warszawa

1832.

# KACPER
# OWCZAREK

*Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.*

# KACPER

# OWCZAREK

## DRAMMA ORYGINALNA

WE TRZECH AKTACH PROZĄ.

Z WYDARZENIA PRAWDZIWEGO.

*Napisana w roku 1830.*

NA DOCHOD UBOGICH.



WARSZAWA.

1832.

Hr. Skarbek, opowiadał razu jednego w mojéj przytomności następujące wydarzenie:

„Od czasu jak założono szkółkę w Domu Kary i Poprawy dla młodych winowajców, jeden z nich Kacper, owczarek z professyi, skazany na dożywotne więzienie za podpalanie, mocno zajął moję uwagę swoim smutkiem, pilnością i ciągle dobrém sprawowaniem się. Badając, jaka mogła być przyczyna która go tak młodego do téj zbrodni przywiodła? (miał bowiem zaledwie lat 16, i już od dwóch lat siedział w więzieniu), gdy na powtarzane zapytania moje zawsze milczał, jeden z jego kollegów zawołał: *On się Panu nie przyzna*, *ale przed nami to nie raz gorszko płacze*, *bo to nie on podpalał*, *ale wój jego*. „Ja, ja sam przerwał Kacper, niech mu pan nie wierzy." „Uderzony temi słowy, po długiem naleganiu wymogłem na Kacprze wyznanie, że istotnie był niewinnym. Matka jego, chcąc ochronić swego brata i rozumiejąc, że małoletniemu jéj synowi wina ta ujdzie bezkarnie, kazała mu przysiądz, że uczyni co rozkaże, a to było, by występek wuja przyjął na siebie. Na moje proźby sprawa ta została wznowiona, i mam nadzieję, że niewinność Kacpra jawnie uznaną zostanie, gdyż już rzecz całą odesłano do innego sądu dla ponowienia indagacyi."

Wydarzenie to tak żywe na mnie sprawiło wrażenie, iż nieczekając końca sprawy, ułożyłam z téj treści tę małą dramme, która nie — bawnie miała być graną.

Ważne i nieszczęsne wypadki zaszłe w końcu r. 1830, wyzuły z méj pamięci i cnotliwego Kacpra i moję błahą robotę. Przypomniał mi je téj wiosny list następujący:

„Zajęła kiedyś panią sprawa jednego z wychowańców mojéj więziennéj szkoły, raczyłaś ją nawet obrać za przedmiot dziełka scenicznego, sądzę przeto, że zajmującą będzie rzeczą dla Pani poznać przedmiot czynu który zajął jéj pióro. Oddawca niniéjszego jest ów Kacper owczarek, który dla ocalenia matki i jéj brata przyjął, jego winę na siebie i był skazany za podpalenie na dożywotne więzienie. Pani wiesz resztę. Niewinność tego prostego, lecz rzadkiéj stałości człowieka została uznaną, a on wraca dziś do towarzystwa prawnie uwolniony od zarzutu winy, któréj nigdy nie popełnił. Jeżelibyś Pani mogła mu znaleść służbę lub zatrudnienie, dopomogłabyś nie tylko jemu, lecz i mnie który zaciągnąłem względem niego dług opieki należący się niewinnie posądzonemu.

(*podpisano*) Fr. Hr. Skarbek.

*Warszawa 2 Marca 1832. r.*

Napełniona uczuciem jakie zwykle wznieca widok wniosłéj cnoty, tém miléj przywitałam Kacpra, iż w nim widziałam przedmiot który chwil kilka żywo zajmował moję wyobraźnię. Sprawa i historya jego wzięły nie zupełnie taki obrot, jaki im Dramma moja nadaje. Żyje bowiem jeszcze nieszczęsna

matka jego, a wój o zbrodnią przekonany i uwięziony, odnosi już zasłużoną karę.

To mi z płaczem i żalem Kacper opowiedział. Dawnożeś wolny? zapytałam. — 16 Grudnia roku zeszłego zdjęto ze mnie kajdany. Po cóżeś tu powrócił? — Przyniosłem świadectwa mojéj niewinności, a myslę tu zostać, bo mi cięzki żal serce ściska w tamtych stronach gdzie mój wój, gdzie moja matka..... Rozumiem, że i tu znajdę sposób do życia. Przyszedłem piechoto, a że w Warszawie nie znam żadnego miéjsca prócz *Domu Kary i Poprawy*, tam się udałem aby się dowiedzićć, czy jest tu jeszcze i gdzie mieszka ten pan litościwy co się tak nami zajmował w szkole młodych winowajców? Dopytałem się do niego, a on, niewiem dla czego, mnie przysłał do Pani. — Ale ja wiem, odpowiedziałam z uśmiechem pochlebionéj miłości własnéj autorskiéj.

Po spólnéj naradzie z Panem Skarbkiem, obmyśliliśmy *Ogrodnictwo* dla naszego protegowanego, i od miesiąca Marca, zostaje on na nauce w tutéjszym ogrodzie Botanicznym.

Uważając tę Drammę za własność Kacpra, ogarnęła mię chęć aby z niéj odniósł jaką taką korzyść. Przeznaczam tedy jedną połowę jéj dochodu, na nowe gospodarstwo jego, gdy sobie jaką *Basię* upatrzy, a drugą, w jego imieniu rozrządzam (i pewną jestem, że mi tego za złe nie weźmie) na wsparcie ubogich jak on sierot.

Cel ten usprawiedliwi w części moję śmiałość, w ogłaszaniu tak drobnéj i niedokładnéj pracy.

# OSOBY.

Dziedzic.
Karbowy.
Basia jego córka.
Kłos podupadły gospodarz.
Kacper jego siostrzeniec.
Niewosad gospodarz.
Małgorzata stara i uboga wieśniaczka.
4ch Wartowników.
Wójt Gminy.
Sędzia Kryminalny.
Dyrektor, Nadzorca, Dozorca więzienia.
Nauczyciel, Odzwierny więzienia.
Dwóch Żandarmów.
Dwóch Parobków.
12stu Młodych winowajców, z których 6ciu milczących a 6ciu mówiących to jest:
Kacper.
Paweł.
Grzegorz.
Marcin.
Piotr.
Antoni.

*Dwa piérwsze Akty dzieją się na wsi, trzeci w Warszawie w Domu Kary i Poprawy.*

# AKT I.

## SCENA I.

*Izba wiejskiéj chaty.*

KARBOWY i KŁOS *wchodzą razem i zasiadają przy stole na ławie.*

KARBOWY (*zdejmując czapkę.*)

Usiądźcie Panie kumie. Niech tam sobie nasza młodzież wyskakuje, dobrze że choć w Niedzielę zapomni trochę o biédzie! A my starzy lepiéj tutaj przy szklance miodu spokojnie pogadajmy. Ale cóż tak ponuro siedzicie? Napijcieno się. Na frasunek dobry trunek!

KŁOS.

Wam przynajmniéj stać na trunek, a mnie już nie długo i na kęs chleba nie starczy.

KARBOWY.

Ej co tam zawsze się troszczycie. Bóg poczciwych nieopuści.

KŁOS.

Poczciwych!...

KARBOWY.

No, jużcić nie z waszéj winy przyszło na was ubóstwo, a kiedy człek nie ma sobie nic do wyrzucenia, to i cierpieć łatwiéj, myśląc że taka wola Pana Boga.

KŁOS (*z żywością*).

Taka wola złego dziedzica mówcie! żeby nie on, Kłos z gospodarzy, gospodarz, nie tułałby się na stare lata po

2

cudzych komornych, miałby swój dom, grunt, chudobę, ale podobało się niesprawiedliwemu Panu, tam gdzie moja chatka stała, postawić jakąś figurę dla widoku z swego pałacu. Zrzucono moją chałupę; zasiane zbożem pole, skopano na zasadzenie drzew i kwiatów. Gdym się upominał o moję krzywdę, rzucił mi Pan kilkaset złotych i groźno zawołał: płacę ci więcéj niż to warto. — Oj! do śmierci nie zapomnę mu tego!

KARBOWY.

Ze Pan nasz nie najlepszy, to nie nowina. Ale tak Bogiem a prawdą mówiąc, to mój kumie moglibyście się byli za te pieniądze, na nowym gruncie zabudować.

KŁOS.

Tak się to wam zdaje! Ot poszedł grosz za groszem, wszystko się zmarnowało i przyszedłem do ubóstwa.

KARBOWY.

Zapewne że to żal wielki rzucać siedzibę gdzie się urodziło, wychowało, na któréj ojcowie ojców naszych pracowali, żyli i pomarli, ale cóż robić! trzeba znosić cierpliwie! Nad wami też wszyscy się litowali. Ależ i Pan nasz niedługo się cieszył tém co wam odebrał, widoczna nad nim za to kara Pana Boga. Wszak zaledwie skończył budować i sadzić na waszym gruncie, okropny pożar wszystko jednéj nocy pochłonął, wiele mu szkody narobił, bo ogień dosięgnął szpichlerzy i zniszczył nie mało pszenicy i żyta. Aż tu znowu wkrótce, pamiętacie, może wpół roku, spaliły mu się obory, stodoły i cały prawie folwark. Tak, tak kumie, to my w tenczas wszyscy między sobą mówili, że go może Bóg za was nawidza. Ale dajcież już pokój tym turbacyom, cóż wam pomoże iż tak straszno patrzycie i pięście ściskacie. Oto lepiéj mówmy o czém weselszém. Nie długo wasz siostrzak Kacper siedemnaście, a moja Basia szesnaście lat skończą. Trzeba będzie pomyśleć o weselisku,

a jak się oni pobiorą, to wy kumie przy nas mieszkać będziecie, i bieda wam już nie dokuczy.

KŁOS.

Cobym dawnéj ja do siebie przygarnął Kacpra z żoną, to teraz i ja i on do cudzych iść musimy. Oj dobrze, dobrze, że nieboszczka matka jego, a moja siostra nie doczekała patrzeć na to nieszczęście i zostawiła mi chłopaka swego umierając; spodziewała się, że Pan nasz będzie przecież miał wzgląd na sierotę, którego ojciec zabił się, zleciawszy z rusztowania murując pałac pański, a którego matka w krótce ze zgryzoty umarła. Zaprowadziłem Kacpra do dworu, chłopczyna wielką miał ochotę uczyć się czytać i pisać, ba, już trochę umiał, bo go nieboszczyk ojciec sam uczył, prosiłem Pana żeby mu dał sposób wyuczyć się lepiéj, że chłopak chętny i że może kiedyś wyiść na dobrego majstra mularza, jak był ojciec jego. Co mu po nauce odpowiedział pan dziedzic, mularzy mam dosyć, niech tymczasem posługuje w kuchni, zobaczę potém co z niego zrobię. Otóż zrobił! Po kilku latach wałęsania się przy dworze, wypchnął go na pastucha, do swoich owiec hiszpańskich, bo powiada: chłopak pilny i wierny będzie mi je dobrze chodował. Oj! nie dosyć, nie dosyć na niego jeszcze te dwa pożary!

KARBOWY.

Nie grzeszcie panie Kumie, nie grzeszcie. Jeszcze dzisiaj słyszeliście jak to na kazaniu Xiądz Proboszcz nas nauczał, że za złe trzeba dobrém płacić i że nawet nieprzyjaciołom naszym nie godzi się źle życzyć. Kacper jest pasterzem, cóż z tego kiedy go Basia serdecznie kocha. Chłopak żwawy, pracowity bo i przy doglądaniu trzody nie próżnuje, nauczył się śliczne koszyki wyplatać od koszykarza co tu z Warszawy przyjeżdzał. Basia jak teraz, nosi je do miasteczka na przedaż tak i potém będzie, i obadwa razem starzeć się będziemy przy naszych dzieciach.

KŁOS

Poczekajcie no wprzódy czy pan Dziedzic na to pozwoli!

KARBOWY.

A toż znowu co jemu do tego?

KŁOS.

Co do tego! Oto to: że wszyscy już uważają, jak on wszędzie gdzie Basię spotka spoziera za nią, zagaduje do niéj, i do was tu nie rzadko zachodzi, niby to wypytywać się swego Karbowego o kopy i snopy, ale dawniéj nim Basię poznał to was o to do siebie wołał, a sam tu nie przychodził.

KARBOWY.

Już boście się widzę uwzięli wszystko brać za złe. A choćbydź mu Basia i wpadła w oko, niedziwota! hoża, gładka! Ale cóż z tego, on Pan a ona wieśniaczka, przecież Kacprowi przeszkodzić nie może.

KŁOS.

Daj Boże aby tak było jak mówicie!

KARBOWY.

Tak, tak, będzie przy Boskiéj pomocy. Uważaliścieno jak moja Baśka smutno siedziała w kącie karczmy i z żadnym chłopakiem tańcować niechciała? Wiem ja dobrze dla czego! bo Kacper jeszcze trzody z pola niespędził. Niech no wróci, to dopiero zaczną się skoki i pląsy. Ale cóż tak zawsze dumacie i dumacie? ja gadam żeby was trochę rozruszać, a wy tylko w dół patrzycie i wargi gryziecie. To wróćmy do karczmy. Albo chodźmy wywołać Basi żeby nam co przekąsić na wieczerzę dala? Ale otóż i ona sama powraca.

## SCENA II.

CIŻ i BASIA.

BASIA.

Czy Kacper jeszcze nie wrócił?

KARBOWY.

Aha! dla tego to Basia tak prętko z tańców wróciła. No, no, już nie długo sama chodzić i wracać będziesz, niechno po żniwach to i na twojém weselu wyskoczymy. A tym czasem podajno nam co z szafki. Masz tam widzę ser i szynkę, to się zje smaczno z dobrym sąsiadem.

KŁOS.

Dziękuje wam, niechce mi się jeść. Muszę już odejść.... nie do swego, ale znowu do cudzego kąta!

KARBOWY.

Co znowu! Dziś przecież święto, możecie się trochę zabawić.

KŁOS.

Tak, żeby jutro przed świtém usłyszyć głos Włudarza wołającego do pracy, a za spóźnienie się, uczuć kij Ekonoma na grzbiecie (*odchodząc, głosem przytłumionym złością*). Ale poczekajcie! będziecie wy wszyscy jutro co innego mieli do roboty!

## SCENA III.

KARBOWY i BASIA.

KARBOWY.

Biedny on biedny, to prawda; wiele mu Pan krzywdy naczynił; ale też zawzięty! niech mu Bóg nie pamięta.

BASIA (*odkłada część jadła na osobną miskę i całuje ojca w rękę*).

Pozwolicie dobry Ojcze, że to dla Kacpra zostawię. Ale co się znaczy, że go dotąd niema, już dobrze zmierszchać zaczyna.

KARBOWY.

Strach ma wielkie oczy, gdzie tam zmierszcha, nie turbuj się. Co mu się stać mogło? nie prędko mógł zebrać rozpierszchłą trzodę i nic więcéj.

## SCENA IV.

*Ciż sami i* NIEWOSAD.

NIEWOSAD.

Niech będzie pochwalony! A gdzie Kacper? (*poglądając z uśmiechem na Basię*) wiem, że go tutaj najpewniéj zastać i przychodzę aby mu jak najprędzéj podziękować, że mego chłopaka uratował.

BASIA.

Uratował! O! on zawsze do dobrego skory. Mówcież co zrobił?

NIEWOSAD.

Mówię wam, że gdyby nie Kacper, jużbym się nie cieszył moim Michasiem. Wysłała go matka aby kozy nasze spędził z paszy, bo sama nie miała czasu, rozpędził się chłopczyna za uciekającym kozłem; i o wielki Boże! wpadł w rzekę płynącą u dołu. Kacper pilnujący trzody na dolinie rzuca się za nim i szczęśliwie z wody wydobywa.....

BASIA (*przerywając*).

Przeczuwałam, że znowu go jaki dobry uczynek zatrzymał.

KARBOWY.

Jemu to nie piérwszyzna życie swoje narazić za drugiego! Pamiętacie jakto w czasie drugiego pożaru, rzucił się w płomienie, aby wydobyć zgrzybiałego żebraka o którym wszyscy zapomnieli, że chory na uproszonéj słomie w stodole nocuje.

BASIA.

O mój Boże! któżby mógł zapomnieć, jak cały osmalony i ostatnich sił dobywający, by staruszka w bezpieczném miéjscu złożyć, padł potém jakby bez duszy.

KARBOWY.

Bo téż chłopak radził się serca, nie siły swojéj! Miał w tedy zaledwie lat szesnaście!

NIEWOSAD.

A staraż Małgorzata, która codzień go błogosławi. Musicie wiedziéć co zrobił dla niéj.

KARBOWY i BASIA (*razem*).

Nie, nie wiemy cóż takiego?

NIEWOSAD.

Cały jéj dobytek i majątek składał się z jednéj krowy. Otóż téj zimy wilcy zjadły jéj krowę. Co to było płaczu, lamentu! Ale téż teraz jaka radość jak się cieszy! Kacper zbierał pieniądze za swoje koszyki, chciałby był zaraz wynagrodzić stratę biednéj Wdowy, ale nie tak prętko mógł się na to zdobyć, bo jak wiecie część zarobku, oddaje zawsze Wujowi swemu. Aż oto z jarmarku na S^ty^ Gerwazy i Protazy w Płocku, przyprowadził jéj krowę z cielęciem. Ona téż już przednich serków narobiła na wesele Kacpra z Basią.

KARBOWY.

Patrzcie co to za chłopiec! A ja myślałem, że on te pieniądze na nowe gospodarstwo składa. Ale lepiéj, lepiéj ich użył.

Mojéj Basi i tak na niczém zbywać nie będzie (*całując ją w czoło*), dziękuję Ci żeś mi takiego zięcia wybrała.

NIEWOSAD.

Ale gdzież on się bawi do téj pory? Michaś już dawno wrócił do domu, opowiedział mi swoją przygodę z płaczém i z strachem i ja tu pochwili pobiegłem, a Kacpra widzę jeszcze niema.

BASIA.

Czy tylko Michaś wam mówił, że obadwa zdrowo z rzeki się wydobyli? Czy widział go już na brzegu? Ale.... czy mi się zdaje (*słucha*) o to jego, jego fujarkę słyszę!

(*słychać z daleka granie na fujarce. Basia wybiega skwapliwie, za nią Niewosad*).

## SCENA V.

KARBOWY (*sam*).

Niech go tam oni pierwéj powitają, ja choć ostatni szczerze go do serca przycisnę. Ależ już zmrok zapada, w izbie ciemno się robi a Basia zapomniała rozświecić (*skrzesza ogień i zapala kaganiec wiszący przy kominie*).

## SCENA VI.

KARBOWY, BASIA, NIEWOSAD i KACPER (*z fujarką zawieszoną na wstążce*).

KARBOWY.

Niechże cię ucałuję mój ty przyszły synu.

KACPER (*patrząc z czułością na Basię*).

Dziękuję wam za to imie.

NIEWOSAD.

Panie karbowy! Jako przysły ojciec Kacpra, nauczcież go aby mną nie gardził.

KACPER (*biorąc go za rękę*).

Jak możecie tak mówić, tak źle sobie tłumaczyć moje odmówienie?

NIEWOSAD.

Ależ bo i ty Kacprusiu nie myśl sobie, że ja chcę ci zapłacić za to coś zrobił dla mnie, oto tylko chcę ci pokazać, że dziecko moje droższe mi jest nad wszystko. No, no, nie dziwacz i przyjmij dobrém sercem, tę odrobinę na nowe gospodarstwo, (*podaje mu woreczek skórzany z pieniędzmi*).

KARBOWY.

Znam ja go znam i wiem, że go do tego niezmusicie. Dajcie mu już pokój, uściskajcie się jeszcze raz i dość o tém.

(*Kacper rzuca się serdecznie w objęcie Niewosada*).

BASIA.

Ale dla czegóż tak się spóźniłeś? Michaś już dawno powrócił.

KACPER.

Szukałem wszędzie dwóch najpiękniéjszych jagniąt które mi zginęły, podczas gdym do Michasia odbiegł. Powróciłem wreszcie bo nigdzie ich znaleść nie mogłem.

BASIA.

Ach biedny Kacprusiu! Co to będzie jak Pan się dowie!

KACPER.

Pójdę sam do niego i uprzedzę Ekonoma który pewnie pospieszy do dworu z tą dobrą nowiną. Piérwszy téż raz zdarza mi się taką uczynić szkodę.

NIEWOSAD.

A ja stanę za świadka, że dla tego aby syna mego uratować odeszłeś od owiec.

KACPER.

Nasz téż Dziedzic będzie na to uważał!

NIEWOSAD (*uderzając się w czoło*).

Czegóż ja tu czekam! Wiem co zrobię! Pan z drugiéj wsi wyprzedaje swoję owczarnią! Bądźcie spokojni (*ściska za rękę Wojtósia, wychodzi spiesznie i we drzwiach spotyka wchodzącego Dziedzica*).

## SCENA VII.

KARBOWY, BASIA, KACPER i DZIEDZIC.

(*Na przybycie Dziedzica stają wszyscy w postawie uszanowania, Basia zbliża się do stołu i sprząta. Kacper chce odejść, Basia mu znak daje aby został*).

DZIEDZIC.

Przychodzę mój Karbowy dowiedzieć się ile wczoraj zwiozłeś żyta, ile go wymłócono? Dobry wieczór pięknéj Basi. Cóż to Basia dzisiaj nie na tańcach? Przechodząc koło karczmy zajrzałem do tańcujących i uważałem, że cię tam nie było.

KARBOWY.

Czy Wielmożny Pan rozkaże jutro przyjść do siebie z karbami? Ale u mnie wszystko zawsze gotowe to i zaraz mogę się obliczyć.

DZIEDZIC.

Nie, nie, nic pilnego, wolnym czasem, a teraz czy wiecie Panie Karbowy, że szkoda, iż tak córkę waszą poniewieracie. Gdybyście chcieli oddałbym ją moim kosztem na naukę robót, haftów do Warszawy. Basia musi być zręczną, pojętną wnetby została bardzo użyteczną.

KARBOWY.

Onaż i tu nie marnuje czasu, gdyby nie ona, któżby pomyślał o wszystkich potrzebach i wygodach starego ojca. Już to

Wielmożny Panie, nieodsunę od siebie jedynéj pociechy i podpory mojéj starości.

DZIEDZIC (*zbliżając się ku Basi*).

Może Basia namówi Ojca, aby uważał na polepszenie losu swego dziecka.

BASIA.

Nigdzie mi lepiéj być nie może jak przy Ojcu i ani na chwilę go nieodstąpię.

DZIEDZIC.

A czemużeś to nie ubrała się w stążkę com ci dał wczoraj.

BASIA.

Oddałam ją Kacprowi do fujarki.

(*Przez całą tę rozmowę Kacper okazuje gwałtowne wzruszenie, odwięzuje fujarkę, a wstążkę Basi oddaje.*

DZIEDZIC.

Co to za zuchwalec? A to widzę mój owczarz. Co on tu robi?

KACPER.

Jestem w domu mego przyszłego Teścia. Basia jest moją narzeczoną.

DZIEDZIC.

Próżniaku zuchwały. W owczarni nie tu twoje miéjce, już dawno powinieneś spoczywać przy owcach aby je do dnia w pole wyprowadzić. Po cóż tu jeszcze stoisz? Wychodź natychmiast.

KACPER.

Muszę wprzód oznajmić panu, iż pomimo mojéj baczności, zginęło mi dwoje jagniąt, z tych najlepszych gatunków. Szukałem ich do późna i dla tego o téj porze tu jestem.

DZIEDZIC (*w największym gniewie*).

Niegodziwcze? Jak śmiesz stawić mi się w oczy? Precz mi z tąd zaraz, a jutro każę cię odesłać do innych dóbr

moich, gdzie pod rozkazami surowszego Ekonoma, nauczysz się być dbalszym i pilniéjszym.

KARBOWY.

Żeby wielmożny Pan pozwolił, tu nie daleko można ślicznych merynosów nabyć, ja bym od siebie zastąpił tę stratę.

DZIEDZIC.

Nie idzie mi o te dwoje jagniąt, ale nie mogę już dłużéj trzymać tego leniucha niedbałego.

BASIA.

O mój Boże! Panie, łaskawy Panie.... Pan nie wie... że to nie z jego winy....

KACPER (*przerywając*).

Nie warto,... Nie pomoże,... przestań luba Basiu, uspokój się, miéj nadzieję w Bogu.

*Dziedzic porywa się ku niemu. Kacper spiesznie wychodzi dając Basi znak pożegnania ręką).*

## SCENA VIII.

CIŻ SAMI (*prócz Kacpra*).

(*Karbowy i Basia przystępują do Dziedzica z błagalną postawą*).

DZIEDZIC (*nakładając kapelusz na głowę*).

Ani mi słowa za nim! Zuchwalec! Jutro go już tu nie będzie (*odchodzi*).

*(Basia ociera oczy, Karbowy potrząsa głową. Zasłona zapada)*.

KONIEC AKTU PIERWSZEGO.

# AKT II.

## SCENA I.

*Ta sama Izba co w piérwszym Akcie.*

BASIA (*sama przy kominku, grzeje piwo w garnku*).

Już nie długo świtać będzie. Ojciec dzisiaj równo ze dniem wstać musi, trzeba żeby miał się czém posilić. Ach całą noc niespałam! Co to będzie z Kacprem! Pan tak zagniewany! (*słychać lekkie stukanie w okno*).

## SCENA II.

BASIA i KACPER (*za oknem*).

KACPER.

Basiu, Basiu, to ja.

BASIA (*biegnie do okna i otwiera je*).

Ach to ty Kacprze! Trochęś mię nastraszył. Cóż cię tak rano przebudziło?

KACPER.

Co mię przebudziło! Ja przez całą noc oka niezmrużyłem, a jak tylko u ciebie ogień zabłysnął przybiegam pogadać z tobą, już może ostatni raz.

BASIA.

O ja o tém myśleć nie mogę! Może pan tylko tak na piérwszym razie ci zagroził, może go będzie można przeprosić, ubłagać.

KACPER.

Dobra, niewinna Basiu! Niedomyślasz się, iż on rad, że ma powód wysłania mię z miejsca w którym ty jesteś.

Jeszcze wczoraj jak tylko z tąd wyszedł, przysłał Ekonoma który już innego na mojem miéjscu osadził, a mnie tylko przenocować w budzie przy owcach pozwolił. Nie, nie luba Basiu, nie miéj nadziei na teraz, pewny jestem, że dziś jeszcze, daleko będę od ciebie!

BASIA (*z płaczem*).

Ach ja nieszczęśliwa!

KACPER.

Uspokój się. Bóg nas nieopuści. A byleś ty o mnie nie zapomniała, ja cię zawsze i wszędzie kochać będę, i choć może nie tak prętko, to się jednak pobierzemy. Chciałbym nim mnie z tąd odeślą, upleść jeszcze dla ciebie koszyk. Zapal mi kawałek łuczywa bo jeszcze ciemno, pójdę pozbierać w mojéj budce rozrzucone łoziny i łyczka.

BASIA.

Ale wrócisz tu zaraz. Ojciec nie długo wstanie. Tutaj, przy nas będziesz wyplatał ostatni koszyk dla mnie. (*ociera oczy i podaje Kacprowi zapalone łuczywo*).

KACPER (*odbiera je*).

Za chwilę powrócę. (*chce odejść*).

BASIA.

Zaczekaj, zaczekaj, przykryj garnkiem to łuczywo, bo jest trochę wiatru, a tak się boję jakiego broń Boże przypadku! (*przystępuje ku oknu z garnkiem i raptem się odsuwa*). Czy słyszysz?

KACPER.

Nie, cóż takiego?

BASIA.

Słyszałam czyjeś stępanie w tę stronę. Choć niema nic złego, że tu gadamy, jednakże niechciałabym żeby cię widziano przy naszym domu o téj porze.

KACPER.

Tak jeszcze ciemno, że nic rozeznać nie można, a potém otobie Basiu nic złego nikt nie pomyśli (*oświeca sobie łuczywem*), to widzę mój wój, ale poszedł już do folwarku, o znowu tu idzie.... Ale nie, pobiegł za wrota. Cóż tak i tu i tam się kręci, i czego tak wcześnie w pole wyszedł? Nieborak! bieda, niedola spokoju mu niedają! cóżbym dał żeby mu choć na starość kawałek chleba zabezpieczyć.

BASIA.

Choć on jest twojm Wujem, choć tak bardzo nieszczęśliwy, jednak ja niewiem dla czego serce moje nie może przylgnąć do niego. Taki zawsze ponury, groźny, tak zawsze przeklina swego pana. Zkrzywdził go pan to prawda, ależ tak długo mu to pamiętać!

KACPER.

Niechwalę ja mu téj zawziętości, jednakże kiedy coraz większa nędza codzień mu przypomina, że z winy naszego dziedzica kochanego cierpi, to bolesno! Ach bolesno! sam to teraz czuję, gdy także z jego woli mam ciebie porzucić!..... Co się tycze twego wstrętu do mego wuja, radbym żebyś inaczéj czuła. On po śmierci mego ojca, przygarnął do siebie i mnie i matkę moję. Niezapomnę nigdy jak ta umierając przycisnęła głowę moję do siebie, abym lepiéj mógł slyszéć, gdyż głos jéj bardzo już był cichy i rzekła: „Moje dziecię jedyne, zostawiam cię samego na świecie, cała mója nadzieja w Bogu i w braciu moim który od dziecieństwa był moim opiekunem, bo i ja za młodu rodziców stracilam; on mię wychował, on za mąż wydał, on teraz w nieszczęściu oboje nas ratuje, on i ciebie nieopuści. Pamiętajże szanować go, jak drugiego ojca i proś Boga aby ci kiedyś pozwolił wywdzięczyć się Wujowi.” (z *wruszeniem*). Ja téż zawsze Boga proszę, aby mi dał sposobność wypłacić mu się za matkę i za siebie.

BASIA.

To już będę się starała lubić twego wuja, a tém bardziéj teraz gdy ciebię tu nie będzie. Zgasło ci łuczywo, daj co ci je znowu zapalę, (*zapala i podaje mu w garnku*). Idźże już; idź po łoziny i wracaj prędzéj do nas.

(*Kacper od chodzi*).

## SCENA III.

(*Basia narządza śniadanie dla ojca, który po chwili wychodzi z komory obok będącéj*).

KARBOWY.

Z kimżeś to rozmawiała moja pociecho? (*całuje ją wczoło, ona ojca w rękę*).

BASIA.

Z Kacprem mój ojcze, przyszedł do mnie po łuczywo, bo jeszcze ciemno, a chce pozbierać swoje łoziny i łyczka i przyjdzie tu upleść dla mnie koszyk nim go z tąd wyślą. Spodziewałam się, że może pan się udobrucha i pozwoli mu tu zostać; ale Kacper powiada, że jeszcze wczoraj innego już na jego miéjsce dano owcarza, więc dziś pewnie nas opuści!

KARBOWY.

Moje biedne dziecię! I my też tu nie długo będziemy. Nie dla jednéj przyczyny muszę z tąd się oddalić.... Na Swięty Michał kończy się rok mojéj służby. Pan nie może mnie przymusić abym dłużéj u niego zostawał.... Czy słyszysz Basiu (*słychać powolne uderzenie dzwona*). Czy to już na pacierze? (*słychać grzechotkę*). O wielki Boże! to znowu pożar!

BASIA (*biegnie do okna*).

Ach cały folwark oświecony! Sterty się palą! (*wybiegają oboje*).

(*Dekoracya się zmienia. Widać po bokach zabudowania gospodarskie, w głębi o podal palące się sterty zboża. Słychać dzwony, grzechotkę, turkot ciągnionych sikawek, krzyk Ekonoma, hałas biegnących włościan z rozmaitemi narzędziami do gaszenia pożaru, który stopniami zaczyna się zmniéjszać, a w końcu piérwszéj sceny zupełnie ustaje, tylko gdzie niegdzie dym się wznosi*, (*dnieje*).

## SCENA IV.

(*Podwórze folwarczne, w środku którego znajduje się studnia i gołębnik, pod którym darniowa ławeczka*).

WÓJT GMINY i 2ch WARTOWNIKÓW.

WÓJT GMINY (*obracając się za kulisy*).

Niechże go tam dobrze pilnują, ja tymczasem panu dam wiedzieć. To to pewnie i tamte dwa pożary jego były sprawką.

WARTOWNIK 1.

Czy on, czy nie on, to jużci widoczna rzecz, że ktoś musiał podpalić, inaczéj być nie mogło. Przecież nas czterech całą noc chodzi, pilnujemy, w każden kąt zaglądamy, i nigdzie z nikąd ogień wziąść się nie mógł tylko istno podłożony. A kiedy teraz złapaliśmy go jakby na uczynku, bo z ogniem w ręku, to nie kto inny tylko on i tamte dwa razy, i teraz podpalił.

WARTOWNIK 2.

A kiedyż bo on się nie przyznaje, i Boga bierze za świadka że niewinny.

WÓJT.

Tak, tak, alboż on głupi przyznawać się do tego! wie on dobrze co go za to czeka, czém to pachnie. Ale niechno ja użyję moich sposobów to nam się ptaszek nie wywinie. Czekajcie tu na mnie póki od pana nie wrócę (*odchodzi*).

## SCENA V.

DWAJ WARTOWNICY.

PIRWSZY.

Ugaszono już ogień, płomień nie bucha, ale co tu szkody, co tu szkody! Widać że ogień pod kilka stert był podłożony. Ze my go téż nie widzieli jak chodził z łuczywem!

DRUGI.

Bo téż ja i niekoniecznie myślę że to on podpalił. Kiedyżby miał czas w tylu miejscach z takim światłem chodzić i zapalać? My tylko cośmy odeszli bo już dniało, nikogośmy nie widzieli, i złapaliśmy go nie z téj strony z któréj pożar się pokazał. Ot niczyja wina *(ciszéj)* tylko kara Boska nad naszym złym panem.

PIRWSZY.

Jużcić Pan Bóg z nieba ognia niespuścił, ktoś podpalił to ani myśleć inaczéj. Mówicie że nie z téj strony? Wielka rzecz bo już z tamtąd zemknął, złapaliśmy go gdy powracał.

## SCENA VI.

CIŹ SAMI i BASIA (*wbiega załamując ręce*).

BASIA.

Co za okropność! Co za pozór nieszczęśliwy. Ale któż temu da wiarę, kto może go posądzać! Może się memu ojcu przyśłyszalo. (*spostrzega Wartowników*). Mówcież, kogoście widzieli podkładającego ogień?

DRUGI.

Jużcić niewidzieliśmy jak ogień podkładał, bobyśmy tego niedopuścili, ale złapaliśmy Kacpra jak wracał do owczarni z łuczywem zapaloném.

PIRWSZY.

I garnkiem go przykrywał, aby nikt nie widział.

BASIA.

Oh! lecę natychmiast do dworu, wszystko samemu Panu opowiem, że to po łoziny, że odemnie... (*chce odejść spotyka Wójta i zawraca się*), sprobuję w przódy Wójta wybadać.

## SCENA VII.

CIŻ SAMI I WÓJT.

WÓJT.

Oznajmiłem Panu o tém wydarzeniu; i Pan nie potrzebuje innego dowodu występku Kacpra, tém bardziéj, że wczoraj stawił się zuchwale samemu Panu, za to że go za niedbalstwo z tutéjszéj owczarni odprawić kazał (*spogląda złośliwie na Basię*), a wiemy wszyscy co go do téj wsi przywięzuje. Więc przyprowadzić go tutaj natychmiast, rozprawię się ja sam z jegomością. (*Wartownicy odchodzą*)..

## SCENA VIII.

WÓJT I BASIA.

BASIA.

Panie Wójcie! Na dzieci wasze was zaklinam, wysłuchajcie mię, on niewinny.

WÓJT.

Nie masz nic nowego mi do powiedzenia, wiem że od ciebie wziął łuczywo, że ci mówił iż na poświecenie sobie w budce dla roboty jakichśtam koszyków, ale znamy się na tych wybiegach, a w reście może i prawda, że od ciebie wziął łuczywo, ale czy myślisz że miał ci się zwierzyć co z niém zrobi?

BASIA.

Ja przysięgnę, że on niewinny!

WÓJT.

Wiemy już, wiemy co się wczoraj wieczór między nim a Panem działo, wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi, a zazdrość łatwo do zemsty prowadzi.

BASIA (*przerażona i zamyślona*).

Wielki Boże!...... (*z żywością*) ale nie, nie, nigdy temu nieuwierzę!

## SCENA IX.

WÓJT, BASIA i KACPER (*między dwoma wartownikami*).

BASIA (*biegnie ku niemu*).

O mój drogi! Wszak prawda to nie ty, nie ty?

KACPER (*spokojnie*).

Czy i ty mogłaś myśleć?......

BASIA (*przerywając*).

O nie, ani na chwilę nie posądzało cię serce moję, ale uważ co tu pozorów przeciw tobie. Mówże co na swą obronę!

KACPER.

Mówiłem wszystko co prawda, niechcą mi wierzyć, cóż mam więcéj mówić! Bogu moję sprawę oddaję.

WÓJT.

Co my tu potrzebujemy jego mowy! Nie tu, to w mieście przed sądem się przyzna.

## SCENA X.

CIŻ SAMI I KARBOWY (*z dwoma innemi wartownikami*).

KARBOWY (*do Wójta*).

Oto są świadki jako widzieli wcale innego jakiegoś człowieka kręcącego się około folwarku, i na którego mają podejrzenie, że on ogień podłożył.

BASIA (*przyskakuje do ojca i chwyta go za rękę*).

O mój ojcze!

WÓJT.

Cóż takiego? mówcie, tylko prawdę, bez ogródki.

WARTOWNIK 3.

Tak panie Wójcie; Bartek i Jan z téj strony folwarku wartowali dzisiejszéj nocy, a ja i Mateusz tam od pola, otóż widzieliśmy jak właśnie tamtędy przechodził jakiś człowiek, którego pociemku nie mogliśmy poznać, a który potém spiesznie wyszedł za wrota.

WÓJT.

A czemużeście go nie zatrzymali i niedowiedzieli się kto, i po co?

WARTOWNIK 1.

Ja chciałem iść za nim, ale zdało mi się, że poznaję Kłosa, a on nieborak zawsze prawie tuła się po nocach, i bieda bardzo rano w pole go wypędza. Ba! i przypomniałem sobie, że wczoraj w karczmie powiadał mi, że dziś do dnia wyjdzie do Częstochowéj, więc dałem mu pokój, i nie przeszkadzałem jego wędrówce. Aż tu nie długo może we trzy pacierze, właśnie z téj strony po któréj on był chodził, sterty palić się zaczęły.

WÓJT.

I na niego mogą być wielkie podejrzenia. On zawsze chowa w sercu żal do naszego Pana za swoją mizerną chałupę, za którą mu pan dwa razy więcéj zapłacił jak warta. A gdyby to on?

KARBOWY (*do siebie*).

Wczoraj właśnie gdy odemnie wychodził....... Tak, to nie kto inny! (*głośno*) Panie Wójcie, trzeba wysłać za nim w pogoń......

(*Kacper na wymienienie Wuja swego przez Wartownika, zostaje jakby bolesną myślą uderzony, upuszcza głowę*

*na piersi, pogrążony w dumaniach stoi jak wryty. Raptem przerywa Karbowego).*

KACPER.

Niema potrzeby szukać winnego.... Nie będę się dłużéj zapierał, gdy na innego pada podejrzenie.... Ja podpaliłem.

BASIA.

Co mówisz? To być nie może! } *razem.*

KARBOWY.

Co słyszę Wielki Boże! }

KACPER.

Tak jest.... wyznaję... miłość, zazdrość,..... natchnęły mię zemstą(*zakrywa sobie oczy obiema dłoniami*).

BASIA.

Chcesz Wuja ochronić, ale myśl, że siebie, że mnię gubisz. Przez litość na demną! (*staję przed nim z załamanemi rękami*).

KARBOWY (*biorąc go ra rękę*).

Przez wzgląd na moje stare lata, mów prawdę.

KACPER.

Nie powiększajcie moich cierpień. Nie godzien jestem waszego przywiązania.

WÓJT.

To rzecz oczewista że on nie kto inny! Na co tu kogo innego szukać? choćby się zapierał, złapano go na uczynku! ruszyło go przecież sumienie, ale to kary jego niezmniéjszy: (*Do dwóch Wartowników późniéj przybyłych*). Możecie odéjść i powiedzieć Sołtysowi aby przygotował furę z parą końmi, (*Do dwóch pierwszych*), a ty Bartku i Janie coście sami schwytali winowajcę z dowodem jego występku, pojedziecie ze mną i z tym paniczém do Sądu,

będziecie służyć za świadków. Taki mam rozkaz od pana. Pilnujcie go tu póki nie wrócę. Muszę na prędce ułożyć krótki wyklad téj sprawy (*odchodzi*).

## SCENA XI.

CIŻ SAMI (*prócz Wójta*).

BASIA.

On winny! on sam to wyznaje! Nieuwierzę temu jednak do ostatniéj godziny życia mego! Wiem, zgaduję jego powody. Ojcze kochany biegnijmy do pana. Nie może być aby nie wstrzymał swego rozkazu gdy mu prawdę przełożymy, (*bierze ojca za rękę i oddala się*).

KACPER (*wołając za nią*).

Basiu! Basiu! nie czyń tego, zaklinam cię!

BASIA (*odchodząc*).

Nie słucham cię, kiedy ty niedbasz o mnie, sama siebie ratować muszę.

## SCENA XII.

2ch WARTOWNIKÓW i KACPER.

KACPER (*usiada na ławeczce pod gołębnikiem, założone ma ręce i głowę spuszczoną*).

O Matko moja najdroższa! Przyjmij tę ofiarę.

WARTOWNIK 2gi DO 1szego.

Taki młody a już tak występny. No jabym się po nim tego niespodziewał! Jak go też osądzą ciekawym?

WARTOWNIK I.

Może na śmierć. Trzy razy podpalać to nie żarty! Bo pewny jestem, że i tamte dwa razy on podpalał.

WARTOWNIK 2.

Jużci o tém nie możecie świadczyć, co innego teraz, wielkie na niego są pozory i sam się przyznaje, choć ja zawsze myślę, że ten Kłos.,..

KACPER (*zrywa się z swego siedzenia*).

Mój poczciwy Janie, na co chcesz inaczèj myśleć, jak ja sam wyznaję? Czy rozumiesz, iż niewiem co mnie czeka? i czy chciałbym za innego cierpieć? Uważ to sobie dobrze i proszę cię ani myśl, ani wspominaj daremnie o moim Wuju, tak tutaj jak i przed sądem.

## SCENA XIII.

CIŻ SAMI I WÓJT (*zdwoma parobkami z powrozami*).

WÓJT (*chowając papiery za nadrze*).

Wszystko już gotowe, fura zaprzężona (*do parobków*). No, dzieci, związać mu w tył ręce, jedziemy.

(*Parobcy wypełniają rozkaz Wójta*).

## SCENA XIV.

CIŻ SAMI, NIEWOSAD I MAŁGORZATA (*wbiegają razem*).

NIEWOSAD.

Co widzę! więc to prawda!

MAŁGORZATA.

Oczom moim nie wierzę. Kacper, mój dobroczyńca, to być nie może! Panie Wójcie jak możecie myśleć?

WÓJT.

Jak mogę myśleć! Właśnie to na domysł takie rzeczy się robią! Pytajcie go samego, wyznał przecież, niezaprze się i teraz.

NIEWOSAD.

Co? Więc to ty podpaliłeś?

KACPER.

Winny jestem!

MAŁGORZATA.

Cóż do ciebie przystąpiło! Ty taki dobry poczciwy!

NIEWOSAD.

Gdybyś był nie dziwaczył i zaraz poszedł kupić dwoje jagniąt za te pieniądze com ci dawał tak szczerém sercem, byłbyś na siebie Pana nieobraził i nie byłoby tego całego nieszczęścia. Przyprowadziłcić ja te jagnięta, są już w owczarni, ale cóż z tego kiedy wszystko zapóźno!

KACPER.

Przyjmuję teraz wasz dar i bardzo wam za niego dziękuję. Kiedy nie będę już w stanie sam Panu téj szkody powrócić, miło mi, że wyście mnie zastąpili.

WÓJT.

Patrzajcie go! jaki mi cnotliwy! Niechce pańskiéj straty na dwóch jagniętach, a podpalać sterty to u niego nic nieznaczy!

NIEWOSAD.

Panie Wójcie dobrodzieju, jeżeli prawda, że on to zrobił to przez wzgląd na jego młodość, nie oddawajcie go do sądu. Jesteście w wielkiéj łasce u naszego Pana, możecie to u niego wyrobić, że go tu każe ukarać jak młodego, a do sądu nie odeśle.

MAŁGORZATA (*schylając się do nóg Wójta*).

Zróbcie to, zróbcie.

WÓJT.

To ani odemnie, ani od Pana nie zależy, mamy prawa na to, a potém na co chcecie bronić tego zbrodniarza?

Że młody! temci bardziéj winny i trzeba go wziąść w dobre kluby. Coby to było z niego na starość, kiedy tak pięknie za młodu zaczyna.

MAŁGORZATA.

Za nim cała wieś nasza płakać będzie!

NIEWOSAD.

On do téj pory taki był dobry, poczciwy, pracowity!

WÓJT.

Nie wszystko złoto co się świeci! Dosyć już tych ceregielów, ruszajmy (*do wartowników i parobków*). Prowadźcie go za mną.

KACPER.

Bywaj zdrów panie Gospodarzu, kłaniajcie się Michasiowi odemnie.... A wy matko Małgorzato nie płaczcie, nie żałujcie mnie..... Basię, Basię moję tu pocieszajcie (*daje głową znak pożegnania*).

## SCENA XV.

*Niewosad zaturbowany, Małgorzata głośno płacze, Basia wbiega z przeciwnéj strony którą wyprowadzono Kacpra, za nią jéj ojciec.*

BASIA.

O nielitościwy! ani nas chciał słuchać! Gdzież on jest, niech go jeszcze raz zobaczę! Mówcież gdzie Kacper?

MAŁGORZATA (*jedną ręką obciera oczy fartuchem, drugą pokazuje drogę którą Kacper wyszedł*).

BASIA (*chce lecić w tę stronę*).

NIEWOSAD (*wstrzymując ją*).

Daremnie biedna Basiu, już go powieźli do sądu.

BASIA.

O Boże! Boże!

MAŁGORZATA (*biorąc ją w swe objęcie*).

Biedna dziewczyna! (*płaczą obydwie*).

KARBOWY (*zbliża się do córki i obéjmuje jéj głowę*).

Moję dziecię nieszczęśliwe! Trzeba nam jak najprędzéj z tych miejść uchodzić — Ale gdzie się podziejemy. Gdzie spokój, gdzie już szczęście znajdziemy. W Boskiéj opiece nadzieja!

KONIEC AKTU DRUGIEGO.

# AKT III.

## SCENA I.

*Więzienie — Duża izba z oknami zakratowanemi. Z jednéj strony drzwi główne wchodowe ze sztabami żelaznemi, z drugiéj inne drzwi prowadzące wewnątrz więzienia, w głębi trzecie drzwi z napisem* Szkoła Domu Kary i Poprawy. *Na środku izby stół długi zarzucony skórami i narzędziami szewstwa, obstawiony dwónasto stołkami, na boku mały stolik okryty suknem, przy nim krzesło.*

DYREKTOR WIĘZIENIA, NADZORCA.

DYREKTOR (*siedząc przy stoliku przegląda papiery, trochę opodal od niego Nadzorca z innemi papierami* (*sam do siebie*).

Nie tak jeszcze idzie jakbym rad, jakby iść powinno! Jednakże z wytrwałością i pracą trafiemy do pożądanego celu, (*do Nadzorcy*). Pokaż mi teraz WćPan zdania o postępkach w nauce i moralności młodych winowajców.

NADZORCA (*podając zeszyt, drapie się w głowę i nisko się kłania*).

Oto są zapisane przez Nauczyciela i Xiędza.... ale... żeby to JW. Pan raczył mnie posłuchać.... Tylko ja wiem, że moja rada nie będzie przyjęta!

DYREKTOR.

Dla czego nie, jeżeli dobra, mów, o cóż idzie.

NADZORCA.

Człowiek już nie młody jak JW. Pan widzi, ma się téż i doświadczenie, bo to już dwudziesty piąty rok jak jestem Nadzorcą po różnych naszych więzieniach.

DYREKTOR.

Wiem o wszystkich zasługach WćPana i podałem cię już do emerytury, bo czas abyś sobie wypoczął, a i ja do moich widoków innego potrzebuję, ale przystępój do rzeczy, czegóż jeszcze żądasz?

NADZORCA.

O! to wcale nie o mnie idzie, tylko z przeproszeniem JW. Pana, jabym to chciał bez obrazy Pańskiéj powiedzieć, że te wszystkie odmiany teraz zaprowadzone po więzieniach nic nie warte! Ta szkółka, te warsztaty, te oddziały jednych więźniów od drugich, to, to do niczego dobrego nie prowadzi. Dawniéj tego nie bywało, a dobrze było. Człowiek przecież nie dzisiéjszy, zęby już zjadł na dozorze więzień!

DYREKTOR (*z uśmiechem*).

Jakto mój kochany, nic nie widzisz lepszego w teraźniéjszym stanie rzeczy?

NADZORCA.

Oto jeżeli JW. Pan pozwoli szczerze prawdę powiedziéć, to nie tylko do lepszego, ale owszem to wszystko do gorszego doprowadza. A to znowu na co sobie głowę suszyć, żeby tym łajdakom było tu dobrze! Więzienie przecież na to jest więzieniem, aby było więzieniem.

DYREKTOR.

Nie możesz tych słów przynajmniéj do tego więzienia zastósować, gdyż to jest dom *Poprawy*.

NADZORCA.

Ale też i *Kary*! To przecież nie nagrody, a jak JW. Pan zaczniesz i zaczniesz ulepszać, udoskonalać, to sam JW. Pan zobaczy co się winowajców namnoży. Nie długo lepiéj im tu będzie jak na świecie. Co ma ciężko na życie pracować, to nie jeden będzie wolał spłatać jaką złodziejską

sprawkę umyślnie, aby się tu dostać (*kłaniając się do kolan Dyrektora*). JW. Pan niech wybaczy mojéj śmiałości, ale człowiek niema w tym żadnego własnego interessu, tylko z gorliwości tak się mówi.

DYREKTOR.

Nie zadziwia mię wcale ta mowa, owszem dziwiłbym się gdyby (*wskazując ręką na niego*), *człowiek* inaczéj myślał, Ale powiedz mi szczerze, wszak z tych wszystkich niedobrych odmian tu zaprowadzonych, najgorsza jest ta, że odebrano Nadzorcom dostawę żywności dla więźniów? Wszak prawda? To niegodziwe zaprowadzenie?

NADZORCA.

Co prawda to nie grzech! Czyż nie lepiéj bywało kiedy to człowiek szukał, starał się upatrywał porę w któréj jakiego produktu, najtaniéj dostać można było, kiedy człowiek uważał co najmniéj kosztuje, a najwięcéj pożywia? To przecież przez to JW. Panie, nie malo się..... (*podchwytując się*) nie mało oszczędziło się grosza publicznego, bo jak można najtaniéj żywiło się tych wisielców, a teraz.... (*kiwa ręką*).

DYREKTOR.

Bardzo żałuję, że tak mądre przełożenia nie trafiają do mego przekonania (*chce czytać papiery*).

NADZORCA (z *uniżonością*).

Jeszcze słówko JW. Panie — Alboż ta szkoła, (*wskazuje na drzwi z napisem*) co to JW. Pan chce, żeby z niéj wychodzili poprawieni młodzi winowajcy. — Dawniéj jéj nie było, a dom ten przecież oddawności, był Domem *Kary i Poprawy*. Uważa JW. Pan i *poprawy*? A to się ma znaczyć, że tylko karać, karać ich dobrze, to i poprawa nastąpi. Z niemi inaczéj nie można, niech mi JW. Pan wierzy, człowiek przecież osiwiał na tym chlebie!

DYREKTOR.

Nie przeszkadzaj mi już WćPan, nie mam czasu w téj chwili słuchać ták sprawiedliwych uwag. (*Zaczyna przeglądać z wielką pilnością zeszyt zdań o uczniach*).

NADZORCA (*odsuwa się ruszając ramionami*).

Wiedziałem że to będzie groch na ścianę! Ale mówiło się żeby sobie człowiek niemiał co do wyrzucenia!

DYREKTOR (*do siebie w miarę jak przegląda papiery*).

Marcin widzę zawsze krnąbrny, nieugięty! Trzeba go będzie skazać na próżnowanie i samotność. Ten sposób zawsze mi się udaję. (*czyta*) „Paweł powolny, uważny, okazujący żal i skruchę," (*mówi zupodobaniem*). Mam nadzieję, że z tego chłopca będzie jeszcze co dobrego. Jaka słodka pociecha i nagroda dla mnie! (*czyta*) „Kacper Owczarek — Postępowanie jego zawsze przykładne, wzorowe. Pojęcie nadzwyczajne, pilność pracowitość wielka, lecz ciągły smutek jego zdaje się coraz zwiększać." (*mówi*) Ach ten Kacper zawsze niezmiernie mię zajmuje. Coś w nim jest niepospolitego! Nieraz patrząc na niego i uważając pilnie poczciwość wyrytą na jego twarzy nie mogę wierzyć aby był zloczyńcą (*do Nadzorcy*). Więc Kacper zawsze powolny, posłuszny?

NADZORCA (*przystępując*).

Co o tym, to ani słowa inaczéj! Jak Baranek! Tamtych nie raz przyjdzie zburczyć, złajać, nastraszyć karą aby do porządku lub spokoju przyprowadzić, bo to JW. Panie wilcza natura ciągnie do lasu. Ale co Kacper to jak usiądzie nad robotą albo nad książką, to i oczów nie podniesie i jakby niesłyszał halasu i krzyku co nieraz w koło niego kolledzy wyrabiają, tylko czasem przemówi do nich aby ich nauczyć lub napomnąć.

DYREKTOR.

A ten staruszek o którym wspominałeś mi dawnéj, iż przychodził czasami odwiedzać go, czy i teraz, tu bywa?

NADZORCA.

A byłci właśnie wczoraj w czasie roboty więźniów w ogrodzie XX. Franciszkanów. Przyszedł i przyprowadził z sobą jakąś młodą dziewczynę, prosząc aby oboje mogli pomówić z Kacprem. Zaprowadziłem ich do ogrodu. Kacper właśnie nachylony zasiewał grzędy, niewidział żeśmy weszli, a żeśmy tuż przynim stanęli. Krzyknąłem na niego, podniósł się, wyciągnął do nich ręce, dziewczyna zalała się łzami, bo to JW. Panie płacz u kobiety to nic nie znaczy. On też zasłonił sobie oczy rękami.

DYREKTOR (*z tkliwą ciekawością*).

O czemże mówili? musiałeś słyszeć, wszak nie wolno obcym osobom mówić z uczniami téj szkoły tylko w obecności WćPana, lub którego z dozorców.

NADZORCA.

Cóż że słyszałem, kiedy to ich rozmowy do niczego ni przypiąć ni przyłatać. Na samprzód dziewczyna zawołała (*udając głos kobiety*). To nie ty! mój Kacprze, dla mojéj pociechy, przedemną jedną wyznaj, że to nie ty, (*swoim głosem*). Proszęż JW. Pana co ona chciała? Żeby jéj Kacper nie był Kacprem? cóż tu można rozumiéć?

DYREKTOR (*z namysłem*).

Jakto! mówiła do niego to nie ty.... nie ty?

NADZORCA (*śmiejąc się*).

A tak JW. Panie, jakaś szalona czy co takiego!

DYREKTOR.

Cóż więcéj mówili z sobą?

NADZORCA.

On jéj zaraz przerwał mowę i rzekł: myśl jak chcesz jak ci serce twoje mówie. — No i proszesż co tu z tego skleić! Ten znowu chciał żeby serce zagadało! A juźcić

człowiek różne cuda i dziwy widział, a jeszcze nie słyszał nigdy żeby zaś serce miało gadać!

DYREKTOR.

Wierzę, żeś téj mowy nigdy niesłyszał. Ale na czemże się skończyła ich rozmowa?

NADZORCA.

Potém przecie zrozumiale gadali, ona mówiła że go będzie często odwiedzać, on tego niechciał, ale owszem prosił ją i jéj ojca, aby o nim zapomnieli i cierpień jego niepowiększali.

DYREKTOR.

To szczególna!.... Mam podejrzenie, przeczucie, że on nie jest winnym, że przynajmniéj są okoliczności które winę jego zmniéjszają.

NADZORCA.

A jużcić on tu daremnie się nie dostał. Rzecz wiadoma i pewna, że trzy razy podpalał folwarki swego pana.

DYREKTOR (*zasmucony*).

Tak...... czytałem cały wywód słowny jego sprawy. Tak młody i na całe życie do więzienia skazany.....

NADZORCA.

Alboż mu tu źle teraz! On sam pewnie woli nad książką lub przy warsztacie siedzieć jak włuczyć się po polu za owcami.

DYREKTOR (*niesłuchając go zajęty swoją myślą*).

O gdyby można!... Ale daremne życzenie serca mego. (*do Nadzorcy*). Idę teraz obejrzeć sale, i warsztaty w drugim budynku, powrócę gdy uczniowie będą zebrani. Chodź WćPan za mną, zabierz papiery, (*wychodzą obadwa dużemi drzwiami*).

## SCENA II.

*Z przeciwnéj strony wchodzą dwónastu młodych więźniów okutych, za niemi Dozorca.*

DOZORCA.

Na miejsca! do roboty!

(*Niektórzy zasiadają natychmiast przy stole i zabierają się do roboty, inni na boku po cichu rozmawiają z sobą*).

DOZORCA.

Cóż tam macie za konszachty? Tu cicho mówić nie wolno. Do roboty i sza!

MARCIN (*do siebie*).

Do roboty! do roboty! Dobrze mu wołać kiedy sam próżnuje.

DOZORCA (*zasiada przy drugim stole*).

Od samego rana włóczyć się za temi wisusami, to i nóg nie starczy. No! robić tam robić a pilnie i dobrze. Nie długo nauczyciel nadéjdzie to mię przecie uwolni od czuwania nad tą hołotą. (*spiera się na stole i po chwili zasypia*).

MARCIN.

Ot jak czuwa! spracował się nieborak!

ANTONI

Zeby nie te łańcuchy przeklęte, tobym mu ślicznie wyciągnął z kieszeni fajkę i tytuń, a zdałyby mi się zdały! Ale cóż, obudzi się jak stąpię.

MARCIN.

Ja bym wolał łeb mu do stołu przykuć.

PAWEŁ.

Cóżby wam obydwom z tego przyszło? U Marcina wnetby znaleźli skradziony tytuń i fajkę, a Antoni nie polepszyłby

swego losu, choćby Dozorcę życia pozbawił. Oba przyczynilibyście sobie po jednym występku więcéj i zasłużylibyście na surowsze kary.

PIOTR.

Patrzajcieno jak się wyedukował. Morały nam prawi. To już Kacper przez niego przemawia. Udawajcie wy sobie poprawionych, my chwackie chłopaki trzymamy się w kupie, byle nam tylko nasze lata wykawęczyć ho, ho! nie wpadniemy już do téj półapki.

KACPER.

Zapewne, że byleście chcieli, to raz z tąd wyszedłszy, będziecie mogli inny zupełnie sposób życia obrać jak przedtém.

MARCIN.

Może szewcem, ogrodnikiem, albo tkaczem zostanę! Zabawny sposób do życia! Ot żeby nas byli nie brali do téj djabelskiéj szkoły; a zostawili jak dotąd bywało razem z starszemi braćmi, co to już zęby zjedli na łatwym chlebie, to byśmy się do téj pory nie mało od nich pouczyli, prawdziwie dobrych sposobów! A tak, zapomni się co się już trochę umiało, tu się nic nienauczy i koniec na tym.

PAWEŁ.

Ucz się tylko a będziesz umiał, nas już kilku nie źle czyta i pisze, a Kacper tak gładko jakby sam Nauczyciel umie, i dobrze nam z tym na teraz i na potém.

KACPER.

Niech Bóg wszystko dobre zsyła na tego Pana co tu szkołę zaprowadził!

MARCIN.

Może i za to mamy mu dziękować, że nas tu tak zamknął, że teraz ani wyruszymy z tych szatańskich murów. Dawniéj to przynajmniéj wyszło się do robót publicznych,

do rąbania drzewa, nie tu, to tam udało się coś schwytać, można też było pomyśleć i o ucieczce, a teraz ani rusz! Bodajgo z jego odmianami!

KACPER.

A mnie się zdaję, że zato właśnie może najwięcéj powinniśmy być mu wdzięcznémi! Wy szczególnie co nie na całe życie jesteście skazani do więzienia, czy nie lepiéj dla was gdy z tąd wyjdziecie, że nikt nie powie, nie przypomni wam że was widział w kajdanach.

ANTONI.

To mi mądry! Kto tam o takiém bzdurstwie myśli! Alboż to my piérwsi i ostatni tutaj? Czego się tu wstydzić!

MARCIN.

Zapewne! Ot wstydźmy się raczéj tego, że na próżnéj gadaninie czas marnujemy *(pokazując na Dozórcę)*, kiedy ten tak pilnie czuwa nad nami. Lepiéj sobie tymczasem przypominajmy co się to za sztuki płatało za czasów świętéj wolności naszéj. Zacznij ty Antoni, bo Kacpra historya nie ciekawa. Podpalać! wielka sztuka! każdy to potrafi, *(uderzając Antoniego po plecach)*, ale ty tęgi chłopak przedziwne rzeczy opowiadasz.

PAWEŁ.

My niechcemy tego słuchać.

GRZEGORZ.

Ja bym rad sam zapomnieć już o tém wszystkim com złego robił i umiał.

PIOTR.

Jaki mi poczciwy! A to niedawno takiś się odmienił braciszku, bo przed rokiem nim te obrzydłe xiążki, warsztaty, nauki i różne odmiany nastały, toś rybko tak dobrze jak i my rozprawiał o swoich sprawkach!

## SCENA III.

CIŻ SAMI, DYRERTOR.

*(Na przybycie Dyrektora wstają wszyscy, szczęk łańcuchów przebudza Dozorcę który raptem się podnosi, nie wie z razu gdzie jest, a ujrzawszy Dyrektora odskakuje od stolika i z miną pokorną staje na boku).*

DYREKTOR *(dając ręką znak aby uczniowie usiedli).*

Nie przerywam waszéj pracy, jakże idzie robota i nauka?

*(Kilku niewyraźne wydaje mruknienie, Kacper z czułością patrzy na Dyrektora).*

PAWEŁ.

Niewiemy co o nas nasi przełożeni powiedzą, my staramy się ich słuchać i korzystać z ich pracy.

DYREKTOR.

Nie wszyscy jednak *(grożąc)* są tu tacy z których wcale nie jestem kontent, i względem nich dałem już surowe rozporządzenia, które ściśle wykonane będą. Ale są niektórzy którym miło mi powiedzieć, że w nich pocieszającą odmianę upatruję. Naprzykład Grzegorz i Paweł mają od wszystkich dobre świadectwa. Poznaliście już, że tylko waszego dobra pragniemy, nie popsujcież się, a możecie jeszcze szczęliwemi i użytecznemi ludźmi być na świecie. *(do Kacpra)* a ty mój Kacprze, nie pozyskałżem jeszcze twéj ufności? Już rok blisko jak cię poznałem i sam ci przyznaję we wszystkim dobre i chwalebne postępowanie. Czemuż niechcesz opowiedzieć mi wszelkich szczegółów które cię do winy przywiodły. Już po kilka razy na próżno się tego od ciebie domagałem. Mam dziś większe jeszcze niżli kiedy do tego powody. Otwórz twe serce przedemną. Czyż nie widzisz, we mnie życzliwego, prawdziwego twego przyjaciela?

KACPER (*z uniesieniem*).

O dobroczyńcę, opiekuna nas wszystkich w tobie Panie uznajemy!

DYREKTOR.

Jeźli więc zdołałem w czemkolwiek przyczynić się do waszego dobra, czemuż to cię nie pobudza do złożenia całkowitéj we mnie ufności. Oto powiem ci prawdę iż mocne mam powody do mniemania, że nie wszystko przed sądem wyznałeś. Muszą być jakieś okoliczności, szczegóły tyczące się twego oskarżenia o podpalanie któreś utaił. Wyznaj je przedemną. Jesteś skazany na całe życie do więzienia, zastanów się, może będzie można karę twoję zmniéjszyć.

KACPER.

Już Panu wiadome jest moje przestępstwo, nic niemam dodać do tego, co Pan czytać musiał w opisie mojéj sprawy.

PAWEŁ.

Ja powiem co on tai.

KACPER (*z żywością*).

Niech mu Pan nie wierzy, on nic niewie, ja sam nic innego powiedzieć nie mogę tylko że jestem winny.

DYREKTOR.

Poczekaj, nieprzeszkadzaj, wolno ci będzie potém jemu zaprzeczyć, mów Pawle, słucham cię.

PAWEŁ.

Oto on prawie co noc niezmiernie płacze, niech powiedzą kolledzy jak się gniewają, że im często spać nie daje wzdychając i lamentując. Otóż....

KACPER (*przerywając*).

Cóż dziwnego, że przyszedł czas żalu i skruchy na winnego. Wszak i ty sam Pawle mocno i szczerze teraz żałujesz swoich przewinień.

DYREKTOR.

Nie przerywaj! mów daléj Pawle.

PAWEŁ.

Otóż wczoraj od téj pory, jak tu przychodził do niego jeden staruszek z swoją córką, smutniéjszym był jeszcze jak zazwyczaj, a w nocy tak szlochał jak dziecko, chodził po sali, oka niezmróżył. Ja także usnąć nie mogłem bo mi go żal było, i usłyszałem jak załamując ręce zawołał. „To już nad siły moje, pójdę, wyznam wszystko! wydam prawdziwego winowajcę." Potém uderzył się w czoło, stał chwilę zadumany, ukląkł w reszcie, i długo się modlił. Zawołałem na niego gdy skończył, prosiłem by mi wytłómaczył co znaczą wymówione przez niego słowa? wyparł się ich jak i teraz czyni, ale ja dobrze słyszałem i prawdę mówię niech mi Pan wierzy.

KACPER.

Mógłem w żalu, w spomieniu dawnéj niewinności i szczęścia cóś bez związku, bez znaczenia powiedzić, czego sam nawet nie pamiętam.

DYREKTOR (*po krótkiém zamyśleniu się*).

Widzę że na próżnobym już nalegał na ciebie. Ale powiedz mi, kto jest ten staruszek z córką którzy cię wczoraj odwiedzali?

KACPER.

Jest to Karbowy z téj saméj wsi z któréj ja jestem. (*ciszéj*) Z jego córką miałem się żenić.

DYREKTOR.

Czy zostają jeszcze na dawném miejscu, i czy tylko tu na krótko przybyli?

KACPER.

Nie, w krótce po mojém uwięzieniu opuścili wieś naszą, dwa lata w różnych stronach przebywali, nakoniec córka

uprosiła ojca, że się przeniósł do Warszawy i od dni kilkunastu tu się znajdują.

DYREKTOR.

Cóż tu robią. Z czego się utrzymują?

KACPER.

Z pracy rąk córki żyją oboje. Ona szyje i pierze bardzo dobrze.

DYREKTOR.

Gdzież mieszkają? Na któréj ulicy?

KACPER.

Tu nie daleko, koło Zdrojów.

DYREKTOR.

Nie wiesz numeru?

KACPER.

Owszem wiem 1752. Pan tak miłosierny litościwy, zapewne jéj nastręczy robotę. Powiadał mi téż jéj ojciec, że nie zawsze ma jéj dosyć.

DYREKTOR (*notuje sobie w pugiliaresie i odpowiada z roztargnieniem*).

Tak, tak.

## SCENA IV.

CIŻ SAMI NAUCZYCIEL.

NAUCZYCIEL (*kłaniając się nisko Dyrektorowi*).

Czy JW. Pan raczy bydź przytomnym dzysiejszym lekciom? Przychodzę po uczniów, jest to właśnie pora naszéj nauki.

DYREKTOR.

Nie, dziś nie mam czasu (*do uczniów*). Możecie odejść do szkoły.

(*Młodzi więźnie składają robotę i odchodzą do szkoły wraz z Nauczycielem*).

## SCENA V.

DYREKTOR i DOZORCA (*który od przybycia Dyrektora stał u drzwi*).

DYREKTOR (*odcinając kartkę z pugiliaresu*).

Idź mi natychmiast do domu tu wyrażonego, mieszka tam staruszek z córką która jest praczką, proś aby tu zaraz przyszli oboje. Czekam na nich.

(*Dozorca wychodzi*).

## SCENA VI.

DYREKTOR (*sam*).

Może się dowiem od nich jakich szczegółów zaspakajających moję troskliwość. Chłopiec ten duszę moję coraz żywiéj zajmuje! Nie mam serca z tąd się oddalić póki domysły moje nie zostaną poparte, lub zupełnie zniszczone. Wypadek téj nocy przez jego kollegę odkryty.....

## SCENA VII.

DYREKTOR, ODDZWIERNY.

ODDZWIERNY (*wbiegając raptém, roztwiéra drzwi wchodowe i mówi głosem oznajmującym*).

JW. Sędzia Kryminalny! (*odchodzi*).

## SCENA VIII.

DYREKTOR, SĘDZIA KRYMINALNY, NIEWOSAD, i DWÓCH ŻANDARMÓW (*którzy zostają przy drzwiach*).

SĘDZIA.

Przychodzę tu w nader ważnym przedmiocie. Rad jestem że WćPana Dobr. tu znajduję, będziesz świadkiem wypadku który szlachetna dusza jego potrafi ocenić. Idzie tu o wykrycie nie tylko niewinności, ale cnoty jednego z młodych więźniów téj szkoły.

DYREKTOR (*z żywością*).

Kacpra Owczarka?

SĘDZIA.

Tego samego. Czy wiadome już Panu jego poświęcenie się?

DYREKTOR.

Nie, lecz serce moje odgadło jego niewinność i byłem prawie pewny, że jest jakaś szlachetna tajemnica w jego przewinieniu.

SĘDZIA.

W saméj rzeczy młodzieniec ten okazał znakomitą wyższość i moc charakteru. Ale pozwól WćPan Dobr., że go tu przywołamy, w obecności jego samego całą rzecz wyjaśnię (*wskazując na Niewosada*). Oto jest posłaniec téj wiadomości, dobry znajomy Kacpra.

DYREKTOR (*biegnie z radością ku szkole.*)

Kacper, Kacper, przychodź tutaj.

## SCENA IX.

CIŻ SAMI i KACPER.

KACPER (*wchodzi powolnym krokiem, zatrzymuje się nagle postrzegłszy Niewosada, ten biegnie ku niemu i bierze go w swoje objęcie*).

NIEWOSAD.

Kacper! poczciwy Kacper! dwa lata niezasłużonego więzienia!.....

KACPER (*spozierając na wszystkich*).

Co się to ma znaczyć? Co się stało?

SĘDZIA.

Z prawdziwą rozkoszą przychodzi mi teraz ogłosić wyrok zupełnie przeciwny temu, który przed dwoma laty usta moje wyrzec musiały. (*biorąc go za rękę*). Wyrzucałbym sobie każdą chwilę opóźnienia i dlatego najśpiesznićj tu

przybyłem sam ci oznajmić, iż niewinność twoja już uznana, odkrył się prawdziwy winowajca.

KACPER (*z przestrachem*).

Co słyszę!.... Nie.... to musi być pomyłka, ja, nię kto inny........

SĘDZIA (*przerywając*).

Uspokój się zacny młodzieńcze, poświęcenie się twoje nie było daremne, posłuchaj tego pisma które mi przywiózł Niewosad twój niegdyś sąsiad (*rozkładając arkuszowe pismo*). Oto jest urzędowy opis całego wypadku, przez miejscowego proboszcza podany, ze wszelkiemi formalnościami prawnemi (*czyta*). „Przed kilku dniami wracając nad wieczorem do Probostwa, zastałem pod wystawą domu mego, zgrzybiałego i chorego nędzarza. Uważając, że nie dość będzie opatrzyć go jałmużną, zapytałem z kąd idzie i czyli nie przyjąłby przytulku w domu moim, póki nie przyjdzie do sił i zdrowia? Odpowiedział mi, że z dalekich stron powraca, że ta wieś była niegdyś jego rodzinną, i że powrócił do niéj, aby tu głowę położyć. Wpatrując się w niego pilnie zdało mi się, że go kiedyś znałem. On postrzegłszy to, rzucił mi się do nóg i zapytał: Czy Dobrodziéj nie poznaje Kłosa, niegdyś tutéjszego gospodarza? Niemam się teraz gdzie przytulić. Niewiem co się stało z moim siostrzeńcem Kacprem? Jak to niewiesz odrzekłem, wszak podobno jeszcze przy tobie wzięty był do więzienia i dotąd tam zostaje. — Kacper do więzienia, zawołał, to być nie może! Cóż zrobił takiego? Było podejrzenie na niego odpowiedziałem, że podpalił folwark pański. Przypominam sobie właśnie, że niektórzy rzucali toż podejrzenie na ciebie Kłosie, i już mieli wysyłać za tobą w pogoń do Częstochowéj, gdzie powiadano żeś poszedł tego samego rana gdy się wszczął pożar; ale Kacper przyznał się do winy, a oskarżony i o dwa piérwsze pożary, został skazany na całe życie do więzienia. — Na te słowa Kłos jakby piorunem rażony osłabł zupełnie. Kazałem go

zanieść do czeladniéj izby. Przyszedł do siebie lecz tak był słaby, że słowa przemówić nie mógł, przebywszy noc w mocnéj gorączce, nazajutrz rano prosił o pomoc religijną, poczém uczynił w przytomności mojéj i wójta gminy przerywanym głosem następujące wyznanie." „Ja Franciszek Kłos niegdyś tutéjszy gospodarz, przez zemstę nad naszym Dziedzicem, podpalałem trzy razy włości jego. Popełniwszy ostatnią zbrodnią, uszedłem do Częstochowéj, z tamtąd do Prus gdzie dotąd przebywałem. Wyznaję że gdybym był z pieniędzmi danemi za grónt i chałupę moję wziął się do pracy, byłbym pozostał uczciwym i zamożnym gospodarzem, niezmazałbym się był zbrodnią i niewinny Kacper, niestraciłby swéj wolności za mnie. Lecz lenistwo i zemsta ogarnęły me serce, a Bóg sprawiedliwy tu już mnie ukarał, dopuszczając na mnie okropną nędze, cierpienie i śmierć ze zgryzoty sumienia. Oby w przyszlém życiu przebaczyć mi raczył. — Upraszam Xiędza Proboszcza, aby występek mój i wyznanie z Ambony ogłosił."

„W parę godzin po tém wyznaniu żyć przestał."

KACPER (*słuchał ciągle z spuszczoną głową na piersiach, w końcu rzewnie zaczął płakać i wśród łkania wymawia wznosząc ręce i oczy do góry*).

Boże sprawiedliwy!

DYREKTOR (*rozrzewniony ściskając go za rękę*).

Serce moje umiało cię od razu ocenić.

SĘDZIA.

Z urzędu mego mam prawo natychmiast uwolnić cię od kajdan. (*do Żandarmów*) Zdjąć jego okowy. (*Odchodzę aby przyśpieszyć formalne uniewinienie twoje*).

KACPER (*pod czas gdy mu zdejmują kajdany*).

Przyjmij Panie moje dzięki! Niezapomnę nigdy jego ludzkiego serca.

(*Sędzia odchodzi ścisnąwszy Kacpra za rękę. Żandarmy wychodzą za nim*).

## SCENA IX.

DYREKTOR, KACPER, NIEWOSAD.

KACPER (*biegnie do Niewosada*).

Jakże mi miło żeście wy byli posłańcami mojego uwolnienia.

NIEWOSAD.

Ja bym téż dozwolił komu innemu z tym pojechać! Chyba Michasiowi bym tego odstąpił, ale chłopak jeszcze za mały na taką drogę. Jak tylko usłyszałem z Ambony żeś niewinny, pobiegłem z proźbą aby mnie wysłano do Warszawy z tą wiadomością, i jakiem siadł na mego najlepszego szłapaka, to aż przed mieszkaniem Pana Sędziego zsiadłem z niego!

## SCENA X.

CIŻ SAMI, NADZORCA, (*za nim*) KARBOWY I BASIA.

NADZORCA.

Otóż znowu przychodzi tu ten staruszek z swoją córką i powiadają że JW. Pan ich wzywał.

KACPER (*chwytając Basię za rękę*).

Basiu! dziękujmy Bogu wolny jestem!

BASIA.

Czy być może! Czy mogę szczęściu memu wierzyć!

DYREKTOR (*do Karbowego i do Basi*).

Wzywając was tutaj niespodziewałem się, że na tak szczęśliwą chwilę traficie. Chciałem tylko wypytać się was dokładnie o Kacpra, który mi się od dawna zdawał niepodobnym do winowajcy. Sprawiedliwa Opatrzność która prędzéj czy późniéj występek wykrywa, uprzedziła w téj mierze moje chęci, wszystko się już wydało. On jest niewinny.

KARBOWY i BASIA.

O! my tego zawsze byliśmy pewni!

NIEWOSAD (*do nich*).

To ja z tą wiadomością tu przybyłem.

KARBOWY (*witając się z nim*).

Nie dostrzegłem was zrazu dobry sąsiedzie.

(*Basia i Kacper sobą zajęci*).

NADZORCA (*zbliżając się do Dyrektora*).

Pozwoli JW. Pan zapytać, co się to wszystko znaczy? Czy to znowu jakie nowe zaprowadzenie JW. Pana? Więźnie może bez kajdan już chodzić będą? O zgroza!

DYREKTOR.

Uspokój się, jeszcze ta zgroza nie prędko będzie u nas zaprowadzona.

NADZORCA (*bierze się za głowę obiema rękami i sam do siebie mówi usuwając się na bok*).

To on widzę i otém na kiedyś zamyśla. O co w tedy to już nie będę tu Nadzorcą! Człowiek by nie wytrzymał!

DYREKTOR (*do Kacpra i do Basi*).

Pozwolicie, że ja się zajmę waszém weselem. A jeżeli Kacper niema inego zamiaru względem dalszego sposobu do życia, radbym abyś się wydoskonalił w ogrodnictwie. Moim kosztem oddam cię na naukę do tutejszego ogrodu Botanicznego, i póki z tamtąd usposobiony nie wyjdziesz, będę dla was obojga i dla starego ojca waszego najmował mieszkanie w Aleach. Czy zgadzacie się na to?

KACPER (*trzymając jedną ręką Basię, drugą jéj ojca*).

Ach Panie obarczasz nas łaską swoją! Ale to nie piérwsze dobrodziéjstwo twoje dla mnie. Wszedłem tu niewinny wprawdzie, lecz dzięki tobie, wychodzę lepszy bo oświeceńszy.

KONIEC.

Dla szczegółów jakie do mojéj sztuczki były mi potrzebne, udałam się do Hr. Skarbka z prośbą (niewyjawiając przyczyny) aby objaśnić raczył niekóre pytania moje względem *Szkoły dla młodych winowajców*. Rozumiem, że nie będzie obojętnym dla moich czytelników list jego, opisujący początkowy wzrost tego dobroczynnego zakładu. Przytaczam go dosłownie:

„Odpowjadając na wezwanie Pani, mam zaszczyt wyznać najprzód, iż to com dotychczas dla ulepszenia stanu więzień naszych uczynił, bardzo mało jeszcze znaczy, więcéj jest we wszystkiém chęci jak skutku, lecz tuszę sobie, że kiedyś przy wytrwałości i pracy, do pożądanego celu trafię. Odebranie Nadzorcom dostawy żywności dla więźni, uczynione przygotowania do zaprowadzenia fabryk sukna i płótna po niektórych więzieniach, tudzież ustanowienie dwóch Szkółek dla małoletnich w Warszawie i w Lublinie, oto są główne odmiany dotąd zaprowadzone. Co się tycze Szkółki tutejszéj o któréj Pani najwięcéj szczegółów mieć pragniesz, odpowiadam kolejno na pytania sobie w téj mierze uczynione. Szkółka ta na dwunastu chłopców urządzona, zupełnie jest oddzielona od reszty więzienia, i umieszczona w dwóch izbach tylnéj oficyny. Chłopcy sypiają na wiszących łóżkach które się na dzień pod pułap podciągają, aby w téj saméj izbie mogli pobierać nauki; na drzwiach izby, jest tablica z napisem *Szkoła*. Żaden z młodych winowajców w Szkole umieszczonych, nie tylko do robót publicznych, ale do żadnych wewnętrznych robót wespół z innemi więźniami nie jest używany; wszyscy

zajęci są całe rano naukami, które się zaczynają od lekcyi religij i zależą daléj na czytaniu, pisaniu i rachunkach. Po południu zajęci są robotami ogrodniczemi w ogrodzie XX. Franciszkanów póki pora służy, a w zimie szewstwem. Wszyscy skazani młodzi winowajcy są okuci, bo surowość naszego Kodexu Karnego żadnego nie przypuszcza wyjątku. Stósownie do przepisów prawa, trzeba pozwolenia sądu na to, aby znajomi lub krewni nawiedzali więźniów; rozmowy z niemi tylko w obecności Dozorcy więziennego odbywać się mogą. Młodzi więźniowie są pod ciągłym dozorem i nigdy sami nie zostają w izbie. Nabożeństwa słuchają z innemi więźniami w Kaplicy więziennéj. Nauki zaś religijne odbierają codziennie w szkole. Ten początkowy zakład dalekim jest od tego czem być powinien, lecz ten przynajmniéj dobry wydaje skutek, że młodzi winowajcy są ściśle odłączeni od starszych, od których dotąd nauki zgrozy pobierali, tak dalece, iż piérwsi którzy byli przeniesieni do szkoły, umieli wszyscy język złodziéjski i znali dokładnie przepisy Kodexu tyczące się ich przewinienia, jako i środki obrony własnéj. Gdyby kto chciał ten mały zakład nawiedzić, z największą chęcią służyć będę za przewodnika. Lubo nie wiem dla kogo i do jakiego użytku wiadomości te Pani są potrzebne, rad jestem, że choć tak lichemi przysłużyć się mogę, i cieszy mię to mocno że kogokolwiek rzecz ta zajmuje.

Proszę przyjąć wyraz........

*Warszawa d.* 13 *Lutego* 1830 *r.*

(*podpisano*) Fryderyk Hr. SKARBEK.